Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem

Nr. 35 (490 . *WARSZAWA, 1 września 1928 r.* *ROK XXI*



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU
POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

KONTO P. K. O.: „Centralny Związek Polskich Stow. Łowiec." 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15, za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENA OGŁOSZEŃ: Za każdy milimetr 1-szpaltowy za tekstem 35 groszy, 2-szpaltowy 75 groszy; przed tekstem: 1-szpaltowy 50 groszy, 2-szpaltowy 1.10 zł.; na karcie tytułowej 1-szpaltowy 70 groszy, 2 szpaltowy—1.50 zł. W numerach ozdobnych ceny ogłoszeń są o 50% droższe.

W sprawie Konkursu Fotograficznego

Otrzymaliśmy szereg fotografij przeznaczonych na Myśliwski Konkurs Fotograficzny, bez przestrzegania warunku tajności autorstwa.

Przypominamy przeto i podkreślamy wyciąg z warunków konkursu opiewający:

„Nazwisko należy pomieścić w zamkniętej kopercie zaopatrzonej w godło takie samo, jakie mają nadesłane fotografje".

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

DO ART. „WYŻEŁ WSZECHSTRONNY."



Astor przy myśliwym na zasiadce, w Zakrzewiu. Fot. Wł. Janta-Połczyński.

WYŻEŁ WSZECHSTRONNY I PIES SPECJALNY.

Dokończenie. (Zob. Nr. 34).

Astor nie odstępował mnie nigdy, czy przy nagance, na podchodnem, czy na stanowisku na kozła, czy gdym wyjeżdżał do gospodarstwa w pole jednokonką, czy szedłem na spacer, zawsze w równej mierze był mi miłym, nigdy przykrym, a zawsze pożytecznym towarzyszem, szedł bez uwiązu zawsze przy nodze, a przy jeździe powózką trzymał się z tyłu pomiędzy kołami. Gdy — jadąc dróżką, spostrzegłem zdziczałego kota, który jak zwykle zdaleka na mój widok zniknął w zbożu, uwiązawszy konia, udałem się w ślad za kotem, potrzeba było tylko owo miejsce ręką wskazać Astorowi, a za chwilę był już na tropie szkodnika. Zaledwie minęła minuta, a już kot, miaucząc, robił testament, a nie skończyła się druga, gdy zaaportowany leżał na wózku.

Trzeba widzieć, aby zrozumieć i podziwiać, z jaką zręcznością taki pies wyszkolony zabiera się do unieszkodliwienia zaopatrzonego w pazury i nieraz bardzo silnego przeciwnika. Dzieje się to w największym biegu, w którym dopada i chwyta za krzyże z taką siłą kłów, iż żebra trzeszczą. Aby się zaś uchronić od pazurów, potrząsa nim tak szybko, iż ten go nimi pochwycić nie może. Trwa to tak długo, aż poczuje zakończenie się zbrodniczego żywota.

Przy tej sposobności należy zaznaczyć w związku z artykułem „Moda i wyżeł":

Pies, który jest tak miękki i tak mało cięty, że drapieżnika na miejscu nie uchwyci i nie unieszkodliwi, nie wpędzi go na drzewo, bo zrobiwszy raz tylko znajomość z pazurami, zaprzestanie niebezpiecznej gonitwy. Astor mimo swej ciętości naturalnej i wytresowanej i instynktownej nienawiści do drapieżnika, nigdy nie zaczepiał swojskiego kota czy to w podwórzu, we wsi, czy w domu. „Mruczysław", ulubieniec pani, był tam wrogiem mniejszych drapieżców i nigdy nie potrzebowałem wobec Astora stawać w jego obronie.

Bieg jego w polu był zawsze równy, okładał pole i przeszukując systematycznie, myśliwego z oka nie spuszczał. Kierować się dał tylko ręką, nigdy głosem, odwołać — krótkim świstem piszczałki.

Szczególniejszą mądrością i znajomością polowania odznaczała się jego pomoc przy polowaniu na bażanty.

Gdy było potrzeba kilku kogutów do kuchni, udawałem się do jednej z wielu po polach zasadzonych remiz. Ustawiwszy się na 20 kroków od zarośli, dałem psu znak ręką do rozpoczęcia akcji. Astor ze spokojem i uwagą zanurzył się w gęstwinie. Zwietrzonego tutaj bażanta nie wystawił (jakby to pointer uczynił), ale świadomy, iż chodzi o „buszowanie", wypchnął z remizy. Gdy kogut — co się często zdarza — zamiast wylecieć, zasiadł na drzewie, z podniesioną głową i zwróconemi na ptaka oczami, tak długo szczekał pod nim, aż nie nadszedłem.

Na stanowisku (zasiadce) zachowywał się spokojnie i nie odczuwałem nigdy jego obecności. Wychodzącą zwierzynę obserwował z ciekawością wprawdzie, ale bez oznak zaniepokojenia; nawet

strzał nie zmienił jego pozycji leżącej. Pewnego wieczora, siedząc ze mną na stanowisku, wyniósł mi dwa lisy podstrzelone, które po dublecie wpadły w niedostępne, witkami zarosłe bagno. Bez jego pomocy lisy te z pewnością byłyby dla mnie stracone.

Wytrzymałość jego przy polowaniu na kaczki była niewyczerpaną i dzięki gęstemu i dosyć długiemu uwłosieniu nie wahał się skoczyć i pracować w późnej jesieni w najzimniejszej wodzie. W czasie takiej pory miałem nowy dowód jego inteligencji i wytrzymałości.

W bażantarni mojej znajduje się staw — dawniejsze rozkopane torfowisko, a obecnie przeważnie łabuziem i sitowiem porosłe. W samym środku pozostał suchy, kilkumetrowy półwysep jako wyborne miejsce na zasiadkę. Na półwysep udawałem się często dla wieczornego ciągu kaczek, odbywającego się późno, po zachodzie słońca. Strzał wówczas był możliwy tylko do przelatujących ptaków.

Jednego wieczora sprzyjało mi niezwykłe szczęście: sześć krzyżówek spadło kolejno i w różnych kierunkach do zarosłego stawu. Jak w Wielkopolsce się mówi: „świniną" nazwać to należało, gdyż wobec ciemności więcej instynktem niż okiem celowałem śrutówką.

Noc już była zupełnie ciemna, gdy Astor odebrał rozkaz do aportu. Wzrokiem swoim, lepszym od mojego, musiał widzieć, gdzie kaczki spadły, gdyż wynosił z sitowia bez żadnej komendy jedną po drugiej. Policzyłem — było pięć...

— Jeszcze jednej braknie, piesku, szukaj! — zawołałem.

I poraz szósty Astor skoczył do wody i wyniósł ostatnią krzyżówkę ze stawu.

Przy wielkiej odwadze i ciętości miał niezwykłą rycerską łagodność i dobroduszność w koleżeńskiem pożyciu ze współplemiennym rodem, a w szczególności z jamnikiem moim „Cyganem". Dwa te psy dawały nieraz cyrkowe przedstawienia i kawały, ku uciesze mojej i domowników, które opisać za wiele zajęłoby miejsca.

Jaką sztuką, zachodem i mozolną pracą doszedł niemiecki mener do takiej doskonałości tresury, czy Astor wiedział, że farbowa włóczka w lwnie była sztuczna — dla egzaminu wykonana tylko; a kaczki przy konkursie w staw puszczone umyślnie zlotkowane?... I gdy tak samo, lisy po strzale moim znikły w gąszczu i kaczki na ciągu spadły do wody, a on przynosił jedne i drugie, to już doprawdy obojętne, z jakich pobudek się to stało, a dla myśliwego w praktyce najważniejsze, że złożył liczne dowody, iż nie był tylko sztucznie uczonym.

I jeszcze jedno dyskretne pytanie: czy wszystkie te sztuczki wykonane przez Astora, były w życiu myśliwego niepotrzebne?...

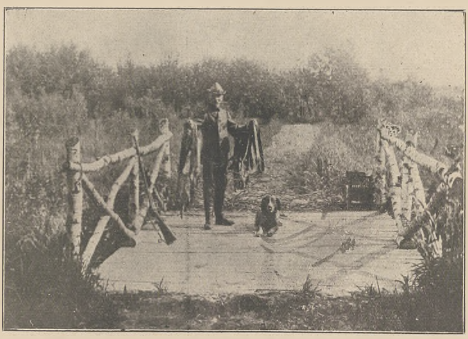
Niestety, w innych działach nie mogłem go już praktycznie wypróbować, ani mnie do kozła postrzałka nie doprowadził, ani przed kłusownikiem nie obronił. W niecały rok poczciwej i wiernej służby przez niedbalstwo leśnika, zmarł otruty strychniną.

Zabił strzelec, który psa takiego nie widział jeszcze, ani o nim słyszał, a tem mniej wytresować umiał i wartość jego ocenić.

Gdy jedliną okrytego towarzysza mego i wypróbowanego przyjaciela łowiska składano w grób wykopany pod płaczącym jesionem w parku, łza kręciła mi się w oczach. Czy może który z Sz. Panów Kolegów, czytając to, śmiać się będzie?

Nie chciałbym polemizować z autorem artykułu: „Moda i wyżeł" gdy piszę o krzyżowaniu psów myśliwskich, i przedłużać i tak już długi artykuł, więc nadmienię tylko, iż u tylu gatunków zwierząt domowych nastąpiła poprawa przez krzyżowanie, czyżby pies miał być wyjątkiem?! I drugie twierdzenie chciałbym sprostować, gdy jako zwolennik psa białego czy srokatego twierdzi, iż tylko taki jest myśliwemu widocznym i „ciągle nie ginie". Pies wyszkolony w pracy polnej ma zawsze oczy zwrócone na myśliwego, wyczekując kierunku w szukaniu i nie ginie nigdy.

Tutaj zastanowić by się należało, dlaczego ilość psów wszechstronnych jest tak mała w Polsce i tak mało tresujących ich menerów. Przecież w przeważnej większości posiada kraj nasz te sa-



Astor na moście w bażantarni ze strzelcem i łapką skrzynkową.
Strzelec trzyma w ręku skórki drapieżców przez zimę na moście schwytanych, których Astor następnie zadławił. Fot. Wł. Janta-Połczyński.

me warunki myśliwskie, co Niemcy, a gdy tam jest ogólnie rozpowszechniony, pielęgnowany i podlegający egzaminom w kilkunastu „Vereinach", u nas zaledwie jedno towarzystwo się tem zajmuje, naogół jeszcze trafiając na opozycję i krytykę.

Polowanie u nas nie było dotychczas dostatecznie zdemokratyzowane, znaczenie ekonomiczne i estetyczne zrozumiane, a prawdziwa kultura łowiecka tylko w małej ilości osobników rozpowszechnioną. Któż czytał przed wojną pismo łowieckie, iluż o niem wiedziało? I prawo w zaborze ruskim stawiało zapory rozwojowi. Dla jednych łowiectwo było wyzyskiem, dla drugich sportem. Mały posiedziciel i dzierżawca myślał tylko, jakby najwięcej wydobyć mięsa. Obszarnik z wielkiem łowiskiem lub dzierżawionem na Polesiu albo w Karpatach, trzymał psy gończe, farbowce, charty, pointery, na czas kuropatw, a straż ku ochronie zwierzyny i tępienia drapieżców pozostawiał służbie niewyszkolonej. Komuż więc był potrzebny pies wszechstronny?! Zginął postrzałek jeden, drugi lub dziesiąty — mniejsza z tem!.. tyle innych biegało i latało po polu i lesie.

Ale matka natura jest tylko cierpliwą do czasu; gdy ostatni żubr został zabity, łosie, kozice, bobry, głuszce, cietrzewie na wymarciu, kuropatwa coraz rzadsza, a przepiórki: „pójdźcie żąć" już zamilkły w prosie na zawsze, należy myśliwemu przypomnieć tak aktualny dziś wiersz poety: „Trzeba się uczyć, bo minął wiek złoty..."

Nie moda więc wytworzyła psa wszechstronnego, jako niezbędnego towarzysza i przyjaciela myśliwego, ale stosunki, potrzeba i kultura.

Zwolennikom wyżła rasowego i specjalnego, którzy mają na to, aby go trzymać, zostawmy tę przyjemność bez zazdrości, jest ona nieszkodliwa a bez wątpienia estetyczna. Jeżeli wszakże ci zwolennicy starają się go rozpowszechnić przez wystawy czy okazy połączone z egzaminem i premjowaniem i to na wiosnę podczas lęgu, kiedy pies nie ma wiatru, to muszę zauważyć, iż przypominają one amerykańskie konkursy piękności filmowych, w których premjuje się kobiety twarz, figurę, chód, wreszcie zęby, włosy, z wyjątkiem języka, t. j. mowy, o której filozof grecki Ezop powiedział, iż jest najcenniejszą właściwością człowieka.

WŁ. JANTA-POŁCZYŃSKI.



Powrót łódki. Fot. Wit. Kiltynowicz.

PIĘKNE ŁOWY.

Dokończenie. (Zob. Nr. 34).

Rozwidniało się tymczasem prędko i ukazywały się pierwsze blaski poranne, nieśmiałe i tonące w mgłach, które powoli opadały niżej ku ziemi i rozścielały się nakształt białych, delikatnych tkanin. Nie czekałem długo, gdyż jeden z głuszców, siadłszy o 100 kroków na sosence, począł śpiewać. Nie tracąc czasu, ostatkami sił zbliżałem się do niego pieśń po pieśni pod osłoną drzew. Wkrótce ujrzałem głuszca grającego zapamiętale i otoczonego głuszycami, które gdakały zawzięcie. Strzeliłem. Głuszec nie upadł, a tylko zleciał, jakby miał zamiar siąść na ziemi, i śpiewał dalej. W pierwszym momencie przypuszczałem, iż chybiłem i gotów byłem strzelić po raz drugi, lecz nagle ptak zniknął mi z oczu między kępami, a śpiew jego ustał. Obawiałem się podchodzić odkryty, więc czekałem chwilę. Ponieważ wszystko ucichło, więc zbliżyłem się ostrożnie, nic mogąc narazie nie dojrzeć. Pomyślałem sobie przeto: czyżbym naprawdę chybił, i gdzie w takim razie podział się głuszec? Nie widziałem go przecież zrywającego się do lotu? Wiążę natychmiast chustkę na najbliższe drzewo, by nie stracić miejsca, ani kierunku, daję sygnał strzelcowi, który powoli się zbliża. Podniósłszy pierwszą ofiarę, opowiadam mu o ostatniem wydarzeniu. On zaś rozejrzawszy się, rzekł: „A wo panoczku, leżyt!". I rzeczywiście, zwróciwszy się w kierunku przez niego wskazanym ujrzałem w niewielkiem zagłębieniu martwego rycerza. Wypaliłem papierosa i napiłem się czarnej kawy z arakiem. Oddałem strzelcowi śrutówkę, a sam wziąłem swój ulubiony sześciomilimetrowy sztucerek z lunetą. Zdawało mi się, że na błotach wszystko już wymarło, taka zapanowała na nich cisza. Zapytałem strzelca o kierunek, w którym zasadziliśmy wczoraj głuszec. Wskazawszy pożądany kierunek, oznajmił mi zarazem, iż wszystkie one zasiadły na ziemi, na drugim brzegu błota, odległym o 500 — 600 kroków; kazałem mu więc prowadzić się tam. Tymczasem słońce wzbijało się coraz wyżej, zalewając potokami światła przestworza, złocąc gałęzie drzew i przepajając blaskami zaróżowione mgły. Na sąsiedniem błocie padł też drugi strzał, więc wolno, wybierając najsuchsze miejsca, zbliżaliśmy się do miejsca zasiadania głuszców. Po przebyciu kilkuset kroków usłyszeliśmy już szum ich skrzydeł i gdakanie kwok. Było względnie cicho. Mgły zasłaniały nam często drogę, słońce świeciło już jaskrawo, śląc hojnie potoki światła i zaglądając między drzewa. Nie było mrozu, temperatura równa była najwyżej zeru. Rozglądając się wokoło i nadsłuchując, zbliżaliśmy się nad brzeg błota. Droga wiodła nas łukiem. Strzelec poradził nam zatrzymać się i posłuchać. Poszliśmy za jego radą i wkrótce zaroiło się przed nami od powracających z żeru głuszców, które sadowiły się na drzewach. Niedaleko od nas usłyszeliśmy walkę dwóch głuszców; podążywszy w tym kierunku, w miarę zbliżania się, słyszałem coraz silniejsze uderzenia ich skrzydeł, oraz śpiew i krakanie. Zbliżyłem się znacznie, by przyjrzeć się bójce i ujrzałem dwa głuszce, walczące ze sobą zaciekle, a trzeciego grającego w podskokach na ziemi, tak jak to zwykły czynić cietrzewie. Za nimi żerował spokojnie czwarty głuszec, obserwując obojętnie walkę. Wkoło tych czterech rycerzy zebrała się gromada głuszcowych dam, które siadały na ziemi i drzewach, oraz kręciły się niespokojnie. Był to raut i pojedynek jednocześnie, dostarczający ciekawego widoku. Przybyło wkrótce więcej młodych głuszców, które nie śmiejąc zbliżyć się do starszych, trzymały się dotąd na uboczu. Zaba-

wa ta trwała dość długo. Już słońce przygrzewało porządnie i promieniowało na środku nieba. W pewnej chwili damy głuszcowe poczęły odlatywać, a na bojowisku zaczęło się powoli uciszać. Wtedy ja, nie mając po co czekać, oparłem mocno sztucerek, zmierzyłem dokładnie i strzeliłem. Padł suchy trzask. Ptak załopotał skrzydłami o ziemię. Ale ku wielkiemu memu zdumieniu reszta ptactwa nie rozleciała się po strzale, tylko najbliższe kwoki zmieniły drzewa, reszta zaś siedziała dalej i dopiero potem zaczęła powoli odlatywać. Ostrożnie zmieniłem ładunek w celu ponownego strzału, lecz pierwszy, trafiony śmiertelnie głuszec, zaczął łopotać skrzydłami, a wszystkie natomiast ptaki uciekły i rozleciały się. Zabawa tego dnia była na ukończeniu. Byłem bardzo zmęczony; dałem sygnał strzelcowi, który zaraz podszedł i śmiejąc się, opowiadał mi, iż miał ochotę schwytać je żywcem. Podniósł on naszą trzecią zdobycz i wolnym krokiem, pełni znużenia, wracaliśmy do ogniska, gdzie czekał nas niecierpliwie ze śniadaniem p. Ł., powróciwszy już dość dawno z dwoma głuszcami. Tak zakończył się drugi ranek na bagnach Wołowej-Góry.

Trzeba było zająć się zmianą obozu i przenieść się na lepsze tokowisko Wołowej - Góry, t. zw. wyspę, odległą od nas o 5 — 6 klm. konnej ciężkiej drogi piaszczystej i kilku kilometrów ciężkiej drogi pieszej po kładkach przez mchy i moczary. Tam to znajdowały się trzy najpiękniejsze, duże tokowiska, położone blisko siebie, suche z obfitością głuszców. Przeprowadzka do nowego miejsca pobytu zajęła nam około sześciu godzin, gdyż wszelkie bagaże i prowianty trzeba było przenosić na plecach. Nad kładkami, gdzie kończyła się droga kołowa, oczekiwało 10 ludzi, którzy zabrawszy nasze bagaże, ruszyli z nami w pochód. Na wyspie zastaliśmy wspaniałe schronienie w postaci budki na słupach, postawionej przez Stasia M. i zabezpieczonej od wilgoci. Drzewo na opał było już wyszykowane. Obok stał szałas dla strzelców. Przynoszono tu nam codziennie przez kładki mleko, jajka i chleb z najbliższej osady leśnej. Budka ta gościła już wielu myśliwych, wiele wspomnień z niej wyniesiono, a mnie szczególnie łączyło z nią wiele przeżyć i wspomnień, gdyż od kilku lat byłem jej corocznym gościem. Ile w niej gawęd usłyszałem, ile chwil miłych i wesołych spędziłem w gronie towarzyszy i ile marzeń myśliwskich wysnułem! Mimo więc ogromnego znużenia, witałem radośnie gościnny i miły zakątek. Rozłożywszy ogień, pomyśleliśmy o wzmocnieniu swych sił i o odpoczynku. O godz. 4-ej byliśmy na nowo wypoczęci i do chwili wyruszenia na podsłuchy czas dłużył nam się okropnie. Przeżywałem, czekając, wspomnienia z lat ubiegłych. Wszak znałem tu prawie każdą sosnę, czułem się jak u siebie w domu. Po obfitym posiłku i odpoczynku gotów byłem wyruszyć natychmiast. Ale trzeba było czekać wieczoru. Słońce powoli skłaniało się ku zachodowi, zabarwiając purpurowo obłoki i gasząc stopniowo swe blaski, ustępujące pełznącym mrokom wieczoru. Wielki spokój i odpoczynek po pracy dziennej obejmował całą naturę, gotując ją do błogiego snu. Mile zadźwięczał mi głos strzelca: „Panicz, para na podsłuchy!" Zwiastował on mi koniec nudnego oczekiwania.

Wyruszyliśmy więc niezwłocznie, a szło nam się po tym terenie tak, jakbyśmy stąpali po posadzce. Podążyłem zwykłą swoją drogą do wywróconej sosny, na której zawsze wysłuchiwałem zapadania głuszców. Znalazłem ją taką, jaką opuściłem ją w roku zeszłym. Była tylko jakby bardziej podgniłą. Zasiadłem na niej jak zwykle, opierając broń i sztucerek o jej konary. Pogodny wieczór osnuwał łagodną melancholją ziemię i zapalał gwiazdy jedną po drugiej. Rozglądałem się ciekawie wokoło i obserwowałem prawdziwy kurnik głuszcowy. Uczułem żal, iż Staś M. nie może razem ze mną patrzeć na wszystko i cieszyć się tym widokiem, bo przecież jemu się to słusznie należało za trudy poniesione w ochronie zwierzostanu. Na drugi dzień rano obudziłem się bardzo wcześnie, gdyż niecierpliwość myśliwska nie dała mi spać. Wcześnie też wyruszyłem do mojej sosny. Usiadłem na niej i czekałem pierwszej pieśni. Milczenie i spokój, leżące wokoło, nastrajały mnie poważnie i uroczyście. Najbliższe głuszce siedziały nie dalej jak o 100 kroków odemnie. Z biciem serca wytężałem słuch, by pochwycić pierwsze tony ich grania.

W ciszy otaczającej mnie, żaden szmer nie uszedł moich uszu. Po pewnym czasie dały się słyszeć nareszcie pierwsze tony. Ruszyłem zaraz z miejsca i zbliżyłem się na odległość około 70 m., kroków. A gdy już pieśń popłynęła wyraźnie, w kilka minut znalazłem się pod głuszcem. Z powodu panujących ciemności nie miałem pewności, czy to on istotnie, i oczekiwałem na pierwsze przebłyski świtania. Usłyszałem i pieśni innych głuszców i postanowiłem sobie, aby w pieśni innego strzelać do pierwszego głuszca, i o ile się to da, iść zaraz do drugiego. Głuszec siedział nisko, najwyżej 2 metry od ziemi, odbijając się czarną plamą na tle drzew, i ponieważ zaczął się ruszać, byłem w stanie stwierdzić jego tożsamość. I wsłuchując się w pieśń drugiego głuszca, zmierzyłem do niego i dałem ognia. Nasłuchiwałem dalej, co nastąpi? Drugi głuszec nie przestawał śpiewać mimo strzału, nie spłoszyły go nawet uderzenia skrzydeł zabitego ptaka o ziemię. Bez namysłu więc skoczyłem pod niego i nie tracąc czasu, zabiłem go wkrótce. Wszystko to nastąpiło tak szybko, iż mój strzelec był pewny, że dobiłem tym strzałem pierwszego. Dałem mu sygnał, kazałem odnieść oba ptaki pod sosnę; sam udałem się w kierunku przeciwnym, gdzie wczoraj zasiadło kilka głuszców. Po drodze spłoszyłem parę sztuk krechtunów. Posuwałem się ostrożnie, przystając co kilka kroków i nasłuchując. Niebawem dosłyszałem pieśń i przyśpieszyłem kroku. Trafiwszy po drodze na bagienko, musiałem przedostawać się przez wodę. Na szczęście była ona nieduża i po kilku pieśniach wydobyłem się z niej pomyślnie. Głuszce śpiewały już wyraźnie, więc śpieszyłem się, gdyż robiło się coraz widniej, a ja miałem śrutówkę w ręku. Nie bacząc na nic, podążyłem trzema skokami. Spostrzegłszy głuszca i wyzyskując jego pieśń, zbliżyłem się na 50 kroków, kryjąc się za sosenkę. Nagle głuszec uciął. Byłem pewny, iż mnie spostrzegł, więc czekałem. Głuszec zaczął teraz klepać, lecz nie śpiewał, zwodził mnie, a ja, znając się na tem, stałem cicho. Wtem opodal zasiadła kura, a on znowu zaczął śpiewać. Po dwóch pieśniach strzeliłem do niego. Ku mojemu zdumieniu, głuszec zamiast spaść na ziemię—odleciał. Wsłuchując się uważnie, skonstatowałem fakt, iż jednak dalej spadł. Udałem się więc na poszukiwanie go. Jak łatwo jest pomylić się w odległości i kierunku w takich wypadkach, skonstatowałem to na sobie obecnie! Szukałem ptaka z kwadrans czasu bez żadnego rezultatu. Przywołałem więc strzelca i razem puściliśmy się na dokładne poszukiwania. Gdy się zupełnie rozwidniło, zorjentowałem się, iż szukamy w złym kierunku i zadaleko. Głuszec nie odleciał nawet na 50 kroków, i z rozłożonemi skrzydłami leżał na mchu, tak, że łatwo go można było spostrzedz. Strzelec zakomunikował mi w czasie szukania, iż z drugiej strony linji grało też parę kogutów. Oddawszy mu przeto broń śrutową, wziąłem sztucer i wyruszyłem we wskazanym kierunku.

Tymczasem wzeszło słońce i oblało świat potokiem światła i wesela. Kury gdakały ze wszystkich stron. W czasie mego pochodu przeleciał mi nagle nad głową głuszec, który usiadł o sto kroków na sośnie. Mogłem doń strzelać odrazu, przytuliłem się jednak do drzewa i czekałem. Głuszec rozpoczął wędrówkę po gałęziach, rozpuściwszy wachlarz, i szykował się jakby do śpiewu: zaklepał parę razy, zagrał jedną pieśń i znowu się odzywał. Pozycja moja była niewygodna do strzału, chciałem przeto zmienić miejsce, by znaleźć lepsze oparcie dla sztucerku. Pieśń głuszca płynęła już na dobre, gdy skorzystawszy z chwili, zmieniłem pozycję i strzeliłem. Chybiłem jednak, a głuszec śpiewał nadal. Ostrożnie zmieniłem ładunek i posłałem mu drugą kulę, lecz ptak siedział ciągle. Przestał tylko śpiewać. Nabiłem broń po raz trzeci, mierząc nadzwyczaj dokładnie i dopiero po trzecim strzale głuszec spadł. Uciekał jednak na nogach. Szczęściem obrał sobie kierunek nieoddalający go zbytnio odemnie. Nabiłem więc sztucer po raz czwarty i znowu strzeliłem. Po zbadaniu zabitego ptaka, okazało się, iż siedziały w nim trzy kule, ale dlaczego nie spadł odrazu, nie mam pojęcia.

Uważałem polowanie na ten dzień za skończone. Nie śpiesząc się więc, odpoczywałem, paląc papierosy i ciesząc się ubitą zwierzyną, oraz pijąc z termosu czarną kawę z arakiem. Po odpoczynku ruszyliśmy i wyszliśmy na niewielki pagórek, ciągnący się łukiem wokoło tokowiska. Rosły tam majestatyczne, ogromne osiki, rzucające cienie od blasków słonecznych, które przepajały wokoło przestrzeń i grzały już mocno. Była g. 7-ma rano: mogliśmy podziwiać w całej pełni urok wczesnego wiosennego poranku i piękno obudzonej wiosny! Nagle strzelec, schwytawszy mnie za gwałtownie za ramię, prawie krzyknął: „Gra!" Posłuchałem, rzeczywiście gra! Najwyraźniej płyną pieśni za pieśniami! Rozpocząłem więc podchodzenie ze sztucerem w ręku. Było to dość łatwem, gdyż pagórek był podszyty doskonale. Przyśpieszyłem więc kroku i nie zważając na płynące pojedyńcze pieśni, zbliżyłem się znacznie. Dojrzałem głuszca grającego na wysokiej osice w blaskach słonecznych, na tle których ptak widniał dużą plamą. Podskoczyłem na 60 kroków. Mam wrażenie, iż gdybym nie strzelił, głuszec byłby jeszcze grał.

Wiedziałem, iż tego ranka po zabiciu 5 głuszców i to wszystkich wśród pieśni, osiągnąłem rekord myśliwski. Powróciwszy do ogniska, opowiadaliśmy sobie wzajemne wrażenia i przygody, bo i p. Ł. zabił tego ranka dwa głuszce, chybiwszy jednego. Nie prędko ułożyliśmy się tego dnia do snu, opowiadania i wspomnienia snuły się przed nami bez końca. Pozatem przyniesiono nam depesze, z których jedna uspakajała mnie o sytuacji w Warszawie, druga wzywała p. Ł. z powrotem do Boczejkowa. Dowiedziawszy się o tem, postanowiłem zdać poszkodowanemu Stasiowi przez p. Ł. dokładne relacje o niebywałych rezultatach polowania i moich wrażeniach z obecnego pobytu na Wołowej-Górze. To też siedzieliśmy i gawędziliśmy do południa. O godz. 12-ej p. Ł. pożegnał mnie serdecznie, a ja, ułożywszy się do snu, zasnąłem kamieniem. Dopiero o godz. 5-ej przebudził mnie gwar gajowych, którzy czekając na mnie niecierpliwie, starali się mnie rozbudzić. Przystąpiłem szybko do wieczornej toalety i po umyciu się nad jeziorkiem, zjadłem obiad.

Trzech ludzi posłałem na podsłuchy, a z czwartym udałem się na ciąg słonek. Słonki ciągnęły znakomicie, ale mimo to po parokrotnem strzelaniu rezultat nie był świetny, gdyż zabiłem zaledwie trzy sztuki i jedną cyrankę. Powodem tego było nieodpowiednie miejsce i zbyt dalekie strzały. Powróciwszy ze słonek, zastałem pozostałych strzelców, którzy powrócili z podsłuchów i opowiadali rzeczy nadzwyczajne. Wobec tego, iż na dzisiejszem miejscu rannego polowania zapadło mimo poprzednich strzałów sporo głuszców, przeto postanowiłem pozostać wiernym swojej sośnie, biorąc i to pod uwagę, że teren ten znałem lepiej od innych.

Drugi ranek na wyspie dał mi sposobność strzelania do trzech głuszców, z których zabiłem tylko dwa, jednego zaś, i to pierwszego, chybiłem. Czułem się tego dnia bardzo zmęczony. I dlatego spędziłem resztę dnia bezczynnie w budce. Pozatem postanowiłem zmienić tokowisko i samemu zasadzić głuszce. W ciągu tego dnia poświęciłem godzinę tylko polowaniu na jarząbki, polując z naganeczkami. Ale chociaż było ich sporo, rezultat polowania był marny, gdyż dał mi tylko dwie zabite sztuki.

Wieczorem na podsłuchach obserwowałem przelatujące nad moją głową słonki, do których mogłem strzelać swobodnie. Głuszców zaś zasadziłem około 15-tu. Piąty ranek spędziłem na tokowisku, na którem udało mi się upolować 3 głuszce. Był to ostatni tegoroczny ranek na wyspie Wołowej-Góry. Opuszczając ten uroczy i pociągający myśliwego zakątek, nie myślałem, iż opuszczam go nazawsze i że nigdy już nie przeżyję w nim tylu miłych i wymarzonych chwil, jakie przeżywałem tu dotąd. Dobrze, że jednak nie wiedziałem o swoim w nim ostatnim pobycie, bo gdybym wiedział, byłoby mi stokroć cięższej i bardziej żal porzucać go, a tak to przynajmniej rozstanie się moje z nim przyszło bezwiednie i niespodziewanie! Pozostały tylko wspomnienia niezatarte do śmierci... Ten odludny i mało dostępny kawałek ziemi pozostawił nietylko dla mnie tyle wspomnień, lecz i dla wielu innych, którzy go poznali i spędzili w nim choć parę godzin. Czy dzisiaj nie wytępili tam bolszewicy wyhodowanej zwierzyny i czy głuszce grają w pogodne, księżycowe wieczory, pełne niezatartego uroku i niezmąconego czaru?...

Prawdopodobnie pozostało tam wszystko tak, jak dawniej, bo było to jednak miejsce niedostępne, broniące dobrze zwierzyny i zapewniające jej niezmąconą ciszę.

Szóstego ranka wróciłem na bagno, na którem spędziłem ranek drugi. Głuszce uspokoiły się tu zupełnie i roztokowały na dobre. Już wieczorem na podsłuchach zabiłem ze sztucerka jednego, chybiwszy przytem drugiego, ranek zaś przyniósł mi 4-ry strzały, którymi zabiłem tylko dwa. Pięknie wyglądał później nasz pochód do gajówki: Czterech ludzi niosło na drągach rozwieszone głuszce, w tyle koń ciągnął nasze bagaże. Wszyscy byli weseli i zadowoleni, bo i polowanie się udało i napiwki były w kieszeniach. Gwar i dowcipy rozbrzmiewały ciągle, a ja spoglądałem z zadowoleniem na swoje trofea. W gajówce zastaliśmy gotowe już śniadanie, po spożyciu którego zaczęto pakować zwierzynę i rzeczy, a o godz. 10-ej ruszyliśmy w drogę powrotną. Droga przez tydzień mego pobytu na Wołowej-Górze popsuła się nieco, ale mimo to jechaliśmy dość szybko. Na popasie, gdzie czekały nas rozstawne konie, wręczono mi listy uspakajające z Warszawy, iż „Jadzia zdrowa". O godz. 10 wieczorem zajechałem przed ganek mieszkania mego przyjaciela, który witając mnie radośnie, zakomunikował mi jednocześnie, iż pozwolenie na jego wyjazd na Wołową-Górę nadeszło dzisiaj dopiero i o ile z nim pojadę, gotów jest wyruszyć choćby zaraz. Namyślałem się na jego propozycję krótko i oznajmiłem mu swą zgodę na nią. Po zdaniu relacji z przebiegu polowania i oględzinach przywiezionej zdobyczy, nastąpiło nowe szykowa-

nic się do drogi i nowa emocja przed wyprawą. Chociaż wiedziałem, iż należy się spodziewać z każdym dniem gorszych toków, bo kury już bardzo wcześnie zlatywały na tokowiska, i głuszce tem samem znacznie krócej grały, to jednak miałem nadzieję co do pomyślnego rezultatu polowania, ze względu na ich ilość. Po wspaniałej wieczerzy, przyjemnej kąpieli i cudownym śnie wstałem następnego dnia rzeźki i pełen animuszu, szykując na nowo broń i garderobę. Staś tymczasem załatwiał sprawy bieżące. P. Reichel gromadziła świeżą aprowizację. Przy obiedzie humory dopisywały nam świetnie, podniecane prastarą starką i winem, pitem „Głuszcom na pohybel".

Drugiego dnia o godz. 4 rano siedzieliśmy już w wygodnym pojeździe, mając przed sobą perspektywę 102 klm. drogi. Przejechaliśmy ją szybko, gwarząc i opowiadając dawne wrażenia myśliwskie, przepowiadając sobie nowe. Przyjazd nasz był oznajmiony telegraficznie, wszystko więc szło gładko, tak, że o godz. 3-ej byłem z powrotem w gajówce, na Wołowej-Górze. Ponieważ nie było wiele czasu, przeto zdecydowaliśmy polować tylko na bagnie i na tokowisku w pobliżu gajówki. Ja, jako poprzednio tem już nasycony, obrałem sobie teren najbliższy, Staś zaś miał polować na bagnie. Niestety, pogoda nam nie dopisała. Powstały wiatry, na niebo wypłynęły ciężkie, szare chmury, pędzone gwałtownie podmuchami wiatru, a drzewa szumiały groźnie. Nie przeszkadzało to głuszcom, — tylko nam! Postanowiliśmy zamieszkać w leśniczówce, a nie obozować jak dotąd. Mając teren dość bliski, wracałem z podsłuchów wcześnie, Staś zaś powracał z bagien o wiele później. Pierwszego wieczoru zasadziłem 4 głuszce, z których rano zabiłem tylko jednego. Chybialiśmy obydwaj haniebnie. Całkowitym rezultatem tych czterech dni były trzy głuszce, zabite przez Stasia i dwa — przezemnie. U Stasia grała rolę emocja, u mnie — zmęczenie. Wieczorami wolałem chodzić na słonki i przelot kaczek nad jezioro, gdzie podczas dnia trawiliśmy czas na połowie raków, któremi objadaliśmy się wprost przerażająco, tak obfite mieliśmy rezultaty tego połowu.

Skończyły się jednak szybko „złote dnie Oranjuesu". Trzeba było wracać do Warszawy, bo już niepokój mnie opanowywał na myśl o porzuconem mieście i o tych, co się w niem zostali.

Więc wkrótce pożegnaliśmy naszą ukochaną Wołową-Górę i ruszyliśmy w drogę powrotną: Staś tylko do Boczejkowa, ja zaś — do Warszawy. Był to długi i przykry dla mnie powrót. Ruch komunikacyjny z powodu wzmocnionych działań wojennych był bardzo utrudniony przez swoją nieregularność. Podróż moja trwała aż pięć dni. Wracałem, zabierając ze sobą ostatnie wspomnienia z Wołowej-Góry, czując żal za minionemi tak szybko chwilami pobytu na niej i czując ogromną wdzięczność dla p. Ciechanowieckiej i Stasia za zaproszenie na tak piękne i miłe polowanie.

HERMAN KNOTHE.

Z OSZCZEPEM NA NIEDŹWIEDZIE.

Obowiązkiem każdego myśliwego powinno być dzielenie się ze swą myśliwską bracią wszystkiemi wspomnieniami łowieckiemi, wszystkiemi wydarzeniami myśliwskiemi, w których nieraz narażał swe zdrowie i życie.

Doświadczenia bowiem jednych mogą posłużyć innym za wskazówki w zawodzie myśliwskim i uchronią ich nieraz przed niepowodzeniami oraz grożącem niebezpieczeństwem.

* * *

Wychowany wśród dalekiej, północnej puszczy od najmłodszych lat przywykłem do życia na łonie przyrody i nauczyłem się obserwować obyczaje wielkich stworzeń leśnych. Wiedziałem, gdzie i kiedy szukać zwierza, jak go tropić, jak na niego polować. Ta znajomość świata zwierzęcego była mi użyteczną w tajdze, ponad wszystko inne.

* * *

Wielokrotne moje zapasy ze srogim mocarzem dalekich puszcz, krwawe boje ręczne, dowiodły mi niezbicie skuteczności Suworowskich słów: „kula jest głupia — bagnet zuch".

Mimo rozwoju broni palnej, broń biała (nóż, topór i oszczep) w walkach z niedźwiedziem nie utraciła swego pierwotnego znaczenia. Mogę stanowczo twierdzić, iż w polowaniu na niedźwiedzia jest ona niezbędną dla bezpieczeństwa myśliwego i w krytycznej chwili bardzo często rozstrzyga szczęśliwie walkę ze zwierzem toczoną na śmierć i życie.

Ileż to razy w śmiertelnych zapasach z rozjuszoną bestją myśliwy nie zdąży nabić wystrzelonej fuzji, a nawet sięgnąć po broń zapasową, trzymaną obok przez strzelca, lub też strzelać, z obawy, aby nie postrzelić obławnika albo towarzysza, leżącego pod rozjuszonym niedźwiedziem. Wówczas tylko rohatyna lub topór ocalić może życie ludzkie.

Dlatego powiem słów parę o tej zanikającej już dziś broni, o jej budowie, użyciu i skuteczności w boju.

Nóż oraz topór są mniej cennem narzędziem w podobnych walkach z niedźwiedziem, lecz i tej prymitywnej broni niejeden myśliwy zawdzięczał swe ocalenie.

Topór powinien być lekki, niezbyt szeroki, zrobiony z dobrej stali, osadzony na krótkiem toporzysku. Znajdować się musi za pasem łowcy. Nóż zaś obosieczny, długości 20 ctm. z podłużnem żłobkowaniem na środku dla łatwiejszego ścieku krwi, osadzony na drewnianej rękojeści, winien wisieć u pasa w pochewce, z której musi lekko wychodzić w razie potrzeby użycia. Nożem takim strzelec może tak dobrze pruć w dół i w górę zwierza, lub przeciąć mu nawet gardło. Jest to jednak broń do użycia już tylko w ostatecznej, rozstrzygającej chwili.

* * *

Oszczepów używałem zwykle dwóch gatunków. Lżejszy w pogoni za uchodzącym zwierzem, w nagankach na niedźwiedzia, łosia i dzika; cięższy zaś w polowaniu na niedźwiedzie w barłogach. Była to broń starannie wykończona, z obosiecznem ostrzem, z doskonałej angielskiej stali, szerokiem na 6 ctm., a długiem na 20, okutem do połowy drzewcem, dość ciężka, by nawet przy miernej sile łatwo ją można było pogrążyć w kosmatem cielsku zwierza, zadając straszne rany, powodujące silne krwotoki.

W krzepkich rękach myśliwego broń ta gruchotała kości zwierza. Jedną taką rohatynę zatykałem zwykle koło siebie w ziemię, lub śnieg, drugą zaś dawałem stojącemu osacznikowi, lub naganiaczowi, stawiając go między mną a moim sąsiadem, by w razie potrzeby mógł pośpieszyć na pomoc jednemu z nas. Oszczep własny powinien ka-

żdy z niedźwiedzich myśliwych mieć przy sobie, bo nie zawsze można liczyć na pomoc oszczepnika, który nieraz umyka w przestrachu w najkrytyczniejszej chwili razem ze swą rohatyną.

Wyrobu rohatyny i jej użycia w walce ze zwierzem uczyli mnie sławni osacznicy z ołonieckiej gub., Teodor Wasilew i Piotr Marynianow.

Z tymi ludźmi niezwykłej siły, nieustraszonej odwagi, polowałem długie lata w północnych guberniach, a z jednym z nich nawet na pięknym Kaukazie. Piotr zrobił mi wzór oszczepu, nauczył mnie nim władać i manewrować, rozwinął mą siłę, podniecił odwagę i zaprawił do niezrównanej walki z mocarzem puszczy. A gdym już raz zakosztował z powodzeniem tych zapasów, strzelba straciła urok w mych oczach i odtąd przekładałem nad nią walkę ręczną.

* * *

Niedźwiedź nie jest tak twardym i wytrzymałym na rany, jak wiele innych zwierząt, jak wilk, łoś, jeleń, żubr lub dzik. Raniony, prędko traci farbę, szybko słabnie i ginie łatwiej od innych zwierząt. Zdarza się jednak, iż i on niekiedy twarde ma życie i długo walczy z przeciwnikiem. Niedźwiedź nie umie znosić bólu cierpliwie: najmniejsza rana doprowadza go do wściekłości i zaślepionej furji.

(D. c. n.). Wl. CZERNIEJEWSKI.

PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ.

SOWIETY.

„Hadko mówić, a tembardziej pisać" — powiedziałby niezawodnie sienkiewiczowski ś. p. Imć Pan Longinus herbu Zerwikaptur. Lecz cóż robić? Obowiązek sprawozdawczy dziennikarski przedewszystkiem, opóźnienie w otrzymaniu wypisanych pism włoskich myśliwskich — no, i poniekąd ciekawość, do czego może dojść blaga ludzka wogóle, a czerwonych Nemrodów w szczególności! Tegoroczny Nr. 1 „Ochotnika" bolszewickiego rozpoczyna się, jak zwykle, pseudo-naukowym referatem z 15-go Zjazdu W. K. P. i „ochotkooperacyj". Beznadziejnie nudny i mglisty elaborat redaktora tego pisma, tegoż charakteru artykuł „Uwaga o finansowych kwestjach towarzysza Sacharowa", jakoteż „Doświadczenia dyskonta (?) efektywności gospodarstwa łowieckiego i rybołówstwa" (sam tytuł niemało wart! — nieprawdaż, Czytelniku miły?), wynik pracy „grażdanina" (obywatela) M. Myszkowa... Rzuca się w oczy wzmianka p. Tobolewa o „Istytucie imienia Lenina" jako fundacja łącznikowego ogniska C. K. (W. K. P.) potulnych czerwonych baranków z dziełem proletarjackiego proroka. Dlaczego te wiadomości dotyczące zakładu nic absolutnie wspólnego z myślistwem niemającego, znalazły się na szpaltach organu niby to łowieckiego, stanowi oczywiście sekret redakcyjny. W każdym bądź razie autor, niejaki A. Tobolew, zafiksował dobitnie swoją zaiste „rzetelną" prawowierność względem władzy robotniczo-włościańskiej. To także ma swoje niezawodne znaczenie pod berłem „purpurowych carów". „Poeta-Myśliwy" pióra niejakiego „Sowremiennika", traktujący o zmarłym przed pięćdziesięciu laty wybitnym pisarzu, Niekrasowie, dość ciekawie jest napisany. Melancholijne zakończenie zapytaniem: „Kto wie, jakby się Niekrasow zapatrywał na wyniki socjalnej rewolucji i dyktatury proletarjatu? — ponieważ w naszych czasach wielu z żyjących szczerze zazdrości losowi zmarłych" — brzmi nawet nieco oryginalnie dla wytworu sowieckiego autora, chociażby ukrytego pod pseudonimem. Odważnego widać animuszu ten pan Sowremiennik! Gratulujemy! Dalej — „Oto odpowiedź" — typowo propagandowa „zapiska" redakcyjna dla pobudzenia ofiarności rewolucyjnych myśliwych na budowę samolotu ich imienia, celem radykalnego wyduszenia „krowopijców burżujów" świata całego — zawiera cenne i głębokie aforyzmy w rodzaju „aeroplan bez skrzydeł — to samo, co strzelba bez naboju". Święta prawda, lecz w guście nieśmiertelnego pana „de la Polisse". Imponujące w przykrym stylu wrażenie wywiera rycina operatora, manipulującego górami skórek lisów i rozmaitych futerkowych objektów przeznaczonych na eksport zagranicę, prawdopodobnie razem z bibułą komunistyczną. Widocznie „ochotpromysieł, ochotkooperacja, wsieochotsojuz" pod egidą energicznych towariszczej bynajmniej nie próżnują. Czy tylko na długą metę starczy podobna eksterminacja?

* * *

Prawdziwem curiosum jest artykuł Imć pana profesora D. Gołowina o wznowieniu zwierzostanu w sowieckim raju. Konstatuje więc ów uczony kompletne wyczerpanie terenów i proponuje zasiedlać lasy głuszcami, cietrzewiami i zającami. Mało jest widać tych szlachetnych okazów na przestrzeniach Rosji Centralnej. Następnie z rozmachem iście moskiewskim, mówi o „phasanus Mongolicus" ba, o królewskich (reweesi). Brzydko winna brzmieć ta nazwa dla pana profesora, — o kozłach maralach i t. d. „Wszystko to być może, lecz ja to pomiędzy bajki włożę" — gdyż nigdy nie uwierzę, żeby przy obecnych stosunkach i prawach komunistycznych można było osiągnąć realne rezultaty. (Na papierze, w dekretach ile chcąc oczywiście). Szanowny profesor naturalnie wymaga przytem zakazu polowania „wsiem wsiem, wsiem" (wszystkim) oprócz inicjatorów na nowo zasiedlonych rządowych łowisk. Słusznie, sprytnie i niegłupio. Lecz cóż zaśpiewają inni obywatele? A no, będą milczeli, jak zwykle. Nieco dalej ów książę nauki rozpisuje się o wielkiej łatwości, z jaką nafaszerować można opustoszałe wodne obszary, a więc supponować należy stawy, rzeki i błota wszystkimi gatunkami kaczek, gęsi, nie wykluczając też sztucznej hodowli innych błotnych ptaków. Na takie rzeczywiste curiosum odpowiem panu profesorowi, że o ile mi wiadomo, hodowla krzyżówek, praktykowana w Niemczech, u nas przed wojną prowadzona była w Antoninach i Łańcucie hr. Potockich. Wymaga ona jednak ludzi fachowych, dużych nakładów pieniężnych i wcale nie jest tak łatwą, jak się profesorowi zdaje. Objektywy tych łowów są ściśle sezonowe, gdyż oczywiście na zimę odlatują, potrzebują odpowiednio przygotowanych terenów (szereg stawków). Co się tyczy gęsi, dubeltów, kulonów, bekasów, to doprawdy, pierwszy raz w życiu o podobnej produkcji słyszę, a tembardziej czytam.

Zapewnić mogę autora rzadkiej elukubracji, że w danym wypadku nic pomoże żaden najostrzejszy dekret samego nawet nieboszczyka Lenina, a tembardziej W. C. I. K. Nieswojsko mi się zrobiło przy odczytaniu podpisu uwieńczonego profesorską godnością. Bo chociaż i sowiecki, lecz zawsze jakiś tam czegoś wykładowca. Toby się rzetelnie uśmiał pierwszy lepszy Niemiec bażantarnik, gdyby mu zaproponowano hodowlę gęsi bernikli, fi-

lausów lub słonek. Ubawiłem się też serdecznie, za co dzięki składam panu Gołowinowi.

* * *

Dalej idą, pełne tęsknoty ubolewania p. Stawinowa o kompletnym braku wykształconych myśliwych wśród rządowych nadleśnych, leśniczych i strażników. Wspomina, jacy dzielni ludzie pracowali niegdyś w „barońskich" majątkach nadbałtyckich pomieszczyków (obszarników). Jak to, natenczas delektowało się oko widokiem zatrzęsienia sarn przy paśnikach, bażantów i kuropatw przy budkach ochronnych, z jaką podziwu godną dokładnością wiedział każdy gajowy o poszczególnym głuszcu, grającym w jego rewirze, o każdem tokowisku cietrzewi, szlaku słonek. Jak produkcyjnie tępili kłusownictwo. A dzisiaj? Pożal się Boże! Tak jest istotnie, lecz trudna rada. Albowiem wszystkie projektowane przez autora kursy „po ochotowiedieniu", odczyty (aż dwutygodniowe?) — wszystko to jest i będzie grochem o ścianę. Dopóki będzie istniał sławny ustrój sowiecki, wątpię bardzo, żeby pod tym względem coś się na lepsze zmieniło w państwie czerwonem. Rezultaty łowieckie zależne są od wielu innych zresztą poczynań, od praw racjonalnych, istotnych, a nie sowieckich swobód obywatelskich, jakoteż od szerokiej możliwości zastosowania inicjatywy prywatnej, nieskrępowanej niczem. Gwarancje bezpieczeństwa winny istnieć nietylko dla zwierzyny, lecz w równej mierze także i dla jej hodowców. A tego niema i być nie może w Rosji dzisiejszej.

* * *

Bardzo ciekawy jest artykuł p. Siewierowa o jeleniach, żubrach, rogaczach bezoarowych kozłach i mulfonach na półwyspie Krymskim. Gatunki te zostały sprowadzone i zaaklimatyzowane za czasów caratu. W okresie „swobód" oczywiście uległy prawie że doszczętnemu wytępieniu przez „soznatielnych grażdan" (obywateli). Niejaki p. Gromakowskij z ubolewaniem konstatuje w swej pracy „Ratujcie polowanie" — że trzysta protokułów za kłusownictwo rozpatrywanych przez tak zwane ‚narodne sądy" w przeciągu dwóch lat, stwierdzają zakończenie sprawy przez uniewinnienie lub wypowiedzenie społecznej nagany. Tenże sam autor wyraża swą aprobatę Niemcom, Szwedom, Norwegom, Węgrom i... Polsce, (nareszcie i my doczekaliśmy się!) — za ostre prawa łowieckie i surowe karanie „brakonjerów". Do jakiego zaś stopnia „samodurstwa" dochodzić mogą sowieccy dygnitarze, dowodzi tego przytoczone przez p. Riabowa zarządzenie o rezerwacie dla wilków.

Miało to miejsce w Wiaźnikowskim powiecie Włodzimierzowskiej gubernji. Nieźle! co? Wytwór p. Lialina o tokach dubelcich i masowych rzeziach po 30 — 40 sztuk w jeden wieczór zasługuje też na uwagę. Dział beletrystyki: opowiadanie p. Rafesa „Nieudane spotkanie", „Jemielin stich" Nieczajewa, „Komanderówka" Fomina — wszystko to są utwory średniej wartości literackiej. Przegląd prasy zagranicznej, traktujący przeważnie o Stanach Zjednoczonych i głównie o przemyśle futrzanym (widać, że ta gałęź najwięcej interesuje naszych wschodnich sąsiadów) — jest dość wyczerpujący. O terminach ochronnych wydane dezyderaty i zarządzenia przeróżnych towarzystw myśliwskich opracowane są dobrze — nie obeszło się jednak i tu bez humorystyki, gdyż Nemrodzi Tambowskiej gubernji wspaniałomyślnie zezwalają polować od 1-go do 20-go maja r. b. na susły, krety i szczury wodne. Winszujemy, nie zazdroszcząc, trofeów podobnych. Opowiadanie o polowaniach na łabędzie na jeziorze Issyk-Kull p. Parszkowa kończy się, jak zwykle, konkluzją o wielkiej wartości skórek i wynikających stąd materjalnych korzyściach dla rządu Komisarzy Ludowych i sportsmenów. Praktyczność przedewszystkiem w ciężkich czasach dzisiejszych.

ADAM RZEWUSKI.

WYSTAWA PSÓW W ALZACJI.

W lipcu odbyła się dwudniowa wystawa psów z Alzacji i Lotaryngji, urządzona przez „Société canine" Dolnego Renu w Strasburgu. W wystawie uczestniczył Alzacki związek hodowli wyżłów. Niemiecka prasa myśliwska twierdzi, że hodowcy alzaccy niechętnie zapisują swe psy do księgi rodowodowej centrali paryskiej. Wolą oni jakoby zapisywać psy do niemieckiej księgi na tej zasadzie, że większość ich pochodzi z Niemiec, gdzie zostały ułożone i nieraz były nagradzane w Berlinie.

TRUCIE MYSZY A KUROPATWY.

Niemiecka prasa myśliwska zajęła się sprawą szkodliwości tępienia myszy w polu za pomocą trucizny, która niszczy zarazem kuropatwy.

Spreparowane trutki w postaci ziarnek żyta lub pszenicy, zmieszanych ze strychniną, nawet w drobnej ilości wystarczają na otrucie także gołębi i kur domowych, jak to stwierdzono doświadczalnie. Nie pomaga tu zakrywanie dziur mysich, w które się wkłada trutki, gdyż ptaki je wygrzebują łatwo.

Zbadane wnętrzności otrutego gołębia wykazały, że wystarczała obecność 7 ziarnek zatrutych, żeby zatruć ptaka. Największa ilość ziarnek znalezionych w żołądku wynosiła 12 sztuk.

Doświadczenia dokonano na polu obszaru 2 i pół morgi (magdeburskiej?), gdzie rozsypano 2 funty (1 kilo) ziarna.

I aczkolwiek istnieją przepisy co do przestrzegania pewnych ostrożności przy rozsypywaniu trutek, to jednak ludzie, którzy to wykonywują, nie przestrzegają tych przepisów, zaniedbując zwłaszcza przydeptywanie dziur, w które wkładają trutki.

Fabryki produkujące ten preparat, nietylko udzielają wskazówek, jak zagłębiać trutki w dziurach dla bezpieczeństwa, lecz jeszcze zalecają używanie specjalnie skonstruowanych aparatów w postaci rurek blaszanych, które zmuszają do głębokiego osadzenia ziarnek zatrutych, które przez to prawie nigdy nie wydostają się na wierzch, zwłaszcza gdy się jeszcze dla bezpieczeństwa przydeptuje te rurki. Mimo to nigdy nie jest wykluczona możliwość rozwlekania pewnej części ziarnek przez myszy same, gdy one do nich się dostają. Kury oczywiście wtedy łatwo odnajdują te ziarnka i trują się niemi.

Stwierdzono też w pewnej miejscowości, że nawet bażanty padają ofiarą tych trutek.

Pozostaje więc tylko jedna możliwość, żeby dzierżawca polowań na pewnym terenie postarał się ugodowo wpłynąć na właściciela tegoż w kierunku uwzględnienia niebezpieczeństwa grożącego zwierzynie wskutek tych trutek.

J. O.

DO PP. AUTORÓW i KORESPONDENTÓW.

Stosownie do porozumienia się pp. redaktorów redakcja „Łowca Polskiego" prosi uprzejmie, aby PP. Autorowie wszelkie artykuły i korespondencje do druku przesyłali pod adresem Redakcji bezpośrednio, a nie imiennie do jednego lub drugiego p. redaktora.

SEKRETARJAT REDAKCJI.

ZE STATYSTYKI I EKONOMIKI ŁOWIECTWA.

Statystyka łowiecka na terenach prywatnych jest u nas jeszcze bardzo słabo uprawiana. W pismach fachowych prawie wcale nie spotykamy artykułów z tej dziedziny teorji łowiectwa. A przecież twórcy statutu Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich nie zapomnieli bynajmniej o tej sprawie, wliczając do długiego szeregu działów Centralnego Związku także zbieranie danych statystycznych.

Rzecz prosta, że w nawale zajęć organizacyjnych, dotąd nieukończonych wskutek piętrzących się trudności — nie zdołano jeszcze zająć się działem statystycznym łowiectwa.

Wobec tego wybitne wskazówki dać nam może opracowana przez nadleśnego Gruschwitza ze Schlechingu i ogłoszona drukiem „Bawarska statystyka łowiecka za rok 1925."

Są to dane oficjalne, ogłoszone w urzędowem czasopiśmie Bawarji.

Na wstępie tedy dowiadujemy się, że w Bawarji wydaje się rocznie 32,380 kart łowieckich. Z posiadaczy tychże kart, jedynie 8,848 osób czyli 27 proc. są członkami Krajowego Związku bawarskich stowarzyszeń myśliwskich.

Ogłoszona statystyka świadczy zarazem o poważnem znaczeniu ekonomicznem łowiectwa dla Bawarji.

Miejscami statystyka uwzględnia zestawienie z ogłoszoną w roku 1908 takąż pracą statystyczną. Zestawienie to wykazuje, że podczas gdy w owym roku przedwojennym padło w Bawarji 1,470,356 sztuk zwierzyny, to w roku 1925 — tylko 815,865.

Zmniejszanie się pokotów, wynoszące ogółem 45 proc., w stosunku do poszczególnych rodzajów zwierzyny przedstawia się jak następuje:

Cietrzewi 74 proc., kun — 73, kuropatw — 71, głuszców 67, wyder — 67, jeleni — 59, ptaków drapieżnych — 56, tchórzy — 56, łasic — 55, jarząbków — 42, bażantów — 37, sarn — 34, kozic — 32, borsuków — 30, lisów — 29, kaczek — 25, zajęcy — 21, słonek — 7, dzików — 0.

Co się tyczy tych ostatnich, to w niektórych rewirach był nieduży przybytek, w innych zaś takiż ubytek. W rezultacie więc stan dzików utrzymał się na dawnym poziomie, a przeto zestawienie statystyczne wykazuje „0".

Ubytek głuszców i cietrzewi nie został wywołany kłusownictwem, gdyż kłusownicy prawie wcale się nie interesują tymi ptakami. Podobnież nie wzmogła się działalność drapieżników niszczących te ptaki, skoro ubytek samych kun wynosi 73 proc. U cietrzewi nie była też przyczyną ubytku często występująca, masowa wędrówka tego ptaka, bo straż leśna stwierdziła, że takiej wędrówki nie było. Przyczyną główną ubytku są rozpowszechnione roboty melioracyjne na łąkach, bagnach i w lasach, źle oddziaływujące na rozmnożę. Częściowo również szkodzą one głuszcom. Pozatem oba te rodzaje ptaków ucierpiały dużo wskutek chorób i nadmiernego odstrzału.

Ubita w r. 1925 zwierzyna przedstawiała wartość 3,840,000 marek (około 8 miljonów złotych). Charakterystyczne jest to, że niemal blizko dwa razy większa ilość zwierzyny ubitej w r. 1908, przedstawiała prawie tę samą wartość pieniężną. Znaczy to zatem, że w przeciągu tego czasu cena dziczyzny poszła w górę niemal o 100 proc.

Jak rozwój kultury rolniczej wpływa ujemnie na łowiectwo, świadczą dane statystyczne, stwierdzające, że podczas gdy w roku 1908 obszar rewirów łowieckich oddawany w dzierżawę przez nadleśnictwa państwowe, uczynił 7,617,208 ha, to w roku 1925, mimo przyłączenia do Bawarji księstwa Koburg, obszar ten zmniejszył się na 7.424.449 ha, czyli że właściwy ubytek terenów łowieckich w Bawarji i Koburgu uczynił około 250,000 ha.

Tworzenie nowych szos, torów kolejowych, kanałów, lotnisk i osiedli ludzkich przyczynia się też w znacznej mierze do zaniku zwierzyny i terenów łowieckich.

Pomimo to liczba uprawiających łowiectwo zwiększyła się w porównaniu z czasami przedwojennymi. W roku 1908 w Bawarji wydano 30,698 kart łowieckich, w roku 1925 zaś 32,380. Wojna nie wytrzebiła bynajmniej myśliwych.

Szczegółowe dane statystyczne w zestawieniu lat 1908 i 1925 przedstawiają się jak następuje:

W roku 1908 zabito ogółem:

Jeleni 1219, cielat 1746, dzików 1051, kozic 1151, sarn 60,702, zajęcy 557,001, głuszców 1,415, cietrzewi 6,086, jarząbków 1,694, bażantów 59,688, kuropatw 558,045, kaczek 37,263, słonek i bekasów 6,397, lisów 24,369, borsuków 2,938, kun 6,007, tchórzy 5,415, łasic 13,620, wyder 354, ptaków drapieżnych 50,398.

W roku 1925 zabito:

Jeleni 575 (mniej o 646), cielat 629 (mniej 1,117), dzików 1,048 (mniej 3), kozic 778 (mniej 373), sarn 39,977 (mniej 20,725), zajęcy 440,623 (mniej 116,378), głuszców 461 (mniej 954), cietrzewi 1,556 (mniej 4,530), jarząbków 990 (mniej 704), bażantów 37,754 (mniej 21,934), kuropatw 162,944 (mniej 395,101), kaczek 27,802 (mniej 9,461), słonek i bekasów 5,923 (mniej 474), lisów 17,391 (mniej 6,978), borsuków 2,057 (mniej 881) kun 1,600 (mniej 4,407), tchórzy 2,406 (mniej 3,009), łasic 6,082 (mniej 7,538), wyder 117 (mniej 237), ptaków drapieżnych 22,316 (mniej 28,082).

Statystyka podaje także zestawienie podziału powyższych liczb na tereny państwowe oddzielnie, oraz gminne i prywatne. Uważając jednak te szczegóły za ściśle wewnętrzne Bawarji, nie przytaczamy ich tutaj.

Uderza tu tylko jeden szczegół znamienny, dotyczący dzików. Gdy mianowicie na terenach lasów państwowych w roku 1908 zabito 992 dziki, a w 1925 roku tylko 497 (o 495, czyli blizko 50 proc. mniej), to na terenach gminnych i prywatnych zabito w 1908 roku zaledwo 59, a w 1925 roku 551 (o 492, czyli o 835 proc. więcej).

Procentowe zmniejszenie wynosi na terenach państwowych: jeleni 34 (na pozostałych 51), kozic 58 (na poz. 84), sarn 64 (n. p. 66), zajęcy 82 (79) głuszców 41 (30), cietrzewi 15 (26), jarząbków 26 (60) bażantów 46 (64), kuropatw 30 (29), kaczek 96 (73), słonek i bekasów 89 (93), lisów 48 (75), borsuków 54 (72), kun 36 (25), tchórzy 29 (45), łasic 23 (45), wyder 17 (34) ptaków drapieżnych 38 (67).

Jak z powyższego widzimy, na terenach gminnych i prywatnych zmniejszenie procentowe było o wiele dotkliwsze, niż na terenach państwowych.

Wyjatek stanowiły dziki, zające, głuszce, kuropatwy kaczki i kuny, których stosunek przedstawia się odwrotnie.

*

Kiedyż i my się doczekamy jakichś miarodajnych danych statystycznych o łowiectwie polskiem w lasach prywatnych?

Statystyka w lasach państwowych jest bowiem szczegółowo opracowana przez Redaktora Juljana Ejsmonda i ogłoszona zostanie niebawem.

J. O.



Z Centr. Zw. Pol. Stow. Łow.

WYJAŚNIENIE.

W opracowanych przez Wydz. Wykonawczy drukach do zgłaszania obwodów łowieckich wspólnych znajduje się rubryka: „Ilość głosów". Odnosi się ona do wyszczególnienia tych głosów, które przysługują właścicielowi gruntu, licząc po 2 ha na jeden głos. (Patrz art. 19 Prawa Łowieckiego).

DELEGACI POWIATOWI.

W dalszym ciągu zgłoszeni zostali na delegatów powiatowych:

Pp: Tomasz Ogrodziński, Kołki, p. Kołki na powiat Łucki.
Henryk Rudzki, Gorzków, p. Iwaniska na pow. Opatowski.
Dominik Pietrasz, Sokółka, na pow. Sokolski.
Dr. Stanisław Malewicz, Sierpc,
Jan Rogalewicz, rejent, Raciąż,
Antoni Lisowski, Żuromin na pow. Sierpecki.
Tadeusz Proszkowski, Jawor, Iłża na pow. Iłżecki.

Lista ogłoszona 3 raz.

WIADOMOŚCI KRAJOWE.

Z TOW. HODOWLI PSÓW MYŚLIWSKICH.

W związku z mającemi się odbyć w dniu 15-go września r. b. próbami polowemi wyżłów, zainteresowani, tak z pośród Członków Towarzystwa, jak również i osoby postronne, zechcą deklarować swoje psy na odpowiednich blankietach, które otrzymać można u sekretarza Towarzystwa, p. St. Czerskiego w Warszawie przy ul. Królewskiej 31, skład broni tel. 38-03.

Dalsze szczegóły w następnym numerze „Łowca Polskiego".

— **Leczenie zwierząt.** — Na mocy przepisów ministerstwa rolnictwa w sprawie zarobkowego leczenia zwierząt, leczeniem tem mogą się właściwie zajmować wszyscy. Wskutek tego leczeniem zwierząt zajmują się często niewykwalifikowani, którzy nie umieją rozpoznać choroby zakaźnej, podlegającej przymusowemu zameldowaniu, wobec czego epidemja się rozwija. Weterynarze mają zamiar zwrócić się do ministerstwa z prośbą o uchylenie poprzednich przepisów, zbyt liberalnie traktujących leczenie zwierząt.

— **Warszawski Ogród Zoologiczny.** — Zarząd Ogrodu Zoologicznego zwrócił się do magistratu z prośbą o przydzielenie mu zadrzewionego terytorjum, położonego na prawym brzegu Wisły między parkiem Praskim a mostem kolejowym. Chodzi mianowicie o odpowiednie rozszerzenie terenu, zajmowanego obecnie przez ogród. Roboty kanalizacyjne i wodociągowe na terenie ogrodu zoologicznego są w pełni i mają być ukończone w ciągu września. W nowo przyłączonej części ogrodu od strony mostu kolejowego prowadzone są obecnie roboty ziemne. Powyższa część parku będzie urządzona według planu parków angielskich. Na tym samym terenie budowane są obecnie zagrody i klatki dla wilków, lisów i borsuków. Firmy budowlane wykończają klatki dla egzotycznych drapieżników i małp. Na ukończeniu są klatki dla wiewiórek i małych drapieżników krajowych. Wykończane są woljery dla bażantów. Projekt wielkiego budynku dla słonia, wzorowany na najlepszych budynkach tego typu zagranicą, jest obecnie rozważany przez zarząd ogrodu. Budynek ten stanie jeszcze w tym roku.

BIBLJOGRAFJA ŁOWIECKA.

J. Ejsmond w „Chasseur Français". — We francuskim miesięczniku „Le Chasseur Français", wychodzącym w Saint Etienne, a drukującym 360.000 egzemplarzy (pismo to mimo tytułu: „Myśliwy" poświęcone jest „wszystkim sportom i życiu wiejskiemu") rozpoczęto druk przekładu „W puszczy", dzieła naszego redaktora, Juljana Ejsmonda. Jako pierwszą nowelę wydrukowano „Ostatniego żubra".

o.

ZAWODY STRZELECKIE.

ZAWODY NARODOWE W TORUNIU.

Ze szczegółowych programów Narodowych Zawodów Strzeleckich przytaczamy część najbardziej interesującą myśliwych:

W „Zawodach Głównych" dział 7 stanowiło strzelanie z broni myśliwskiej.

Broń: — dowolna, gwintowana, karabiny wojskowe wykluczone. Odległość: — 100 metrów. Postawa: — Stojąc, z wolnej ręki. Tarcza: — Jeleń naturalnej wielkości, podzielony na 5 pól, wartości od 1 do 5 punktów, ruchomy, przebiegający przestrzeń 23 m., przez czas 4 sekund. Cel pokazuje się w czasie jednej serji pięciokrotnie, przebiegając nieregularnie raz z lewej, raz z prawej strony. Ilość seryj: — Jedna. Ilość strzałów w serji: — Pięć, pojedyńczych. Czas: — Ograniczony jedynie czasem ukazywania się celu. Ocena: — Podług ilości punktów osiągniętych 5-ma strzałami. Udział — dowolny. Nagrody: — Pięć i pięć medali. Kolejność: — Jak w strzelaniu 3-cim. Regulamin strzelania: Każdy z uczestników konkursu daje 5 strzałów pojedyńczych, bezpośrednio po sobie następujących, z jednej i tej samej broni do 5 razy ukazującego się jelenia, który przebiega bądź to z lewej strony ku prawej, bądź z prawej ku lewej. Między słowem „gotów" a ukazaniem się jelenia, składać się nie wolno. Przed opuszczeniem stanowiska należy broń wyładować. W razie niewypalenia broni należycie nabitej i przygotowanej, musi strzelec wykazać się komisarzowi i sedziemu niewypałem iż broń nie z jego winy zawiodła. Komisarz rozstrzyga, czy zawodnik ma otrzymać pozwolenie do ponownego strzału, czy też niewypalenie ma się policzyć za chybiony strzał.

Strzał niedany do jelenia należycie przemykającego, uważa się również za chybiony. Wstęp na

stanowisko dozwolony jest tylko sędziemu, komisarzowi z odznaką i strzelcowi stającemu do konkursu. O nagrodzie decyduje najwyższa suma osiągniętych punktów. Maximum osiągalne 25 punktów. W razie równości punktów następuje rozgrywka po jednym strzale, dopóki jeden z konkurentów nie odpadnie.

Drugie strzelanie z broni myśliwskiej.

Broń: — Dowolna, gwintowana — karabiny wojskowe wykluczone. Odległość: — 100 metrów. Postawa: — Stojąc z wolnej ręki. Tarcza: — 2 jelenie naturalnej wielkości, każdy z nich podzielony na pięć pól wartości od 1 do 5 punktów. Cele te przebiegają równocześnie przestrzeń 23 m. przez czas 4 sekundy jeden za drugim w odległości 9 m. Cel pokazuje się w jednej serji, przyczem od serji do serji kierunek przebiegu zmienia się w sposób nieregularny. Ilość seryj: — Jedna. Ilość strzałów w serji: — Pięć dubletów. Czas: — Ograniczony jedynie czasem pokazywania się celu. Ocena: — Podług ilości osiągniętych punktów razem w pięciu serjach, przyczem punkty osiągnięte w jednej serji liczy się jedynie wtedy, jeżeli oba cele zostały trafione. Trafienie jednego tylko celu, liczy się jako chybienie. Udział: — Dowolny. Nagrody: — Pięć i pięć medali. Regulamin strzelania: Każdy z uczestników konkursu daje do 5 razy pojawiających się jeleni puszczonych z lewej lub prawej strony po 2 strzały w czasie jednego przebiegu (razem 10 strzałów) z jednej i tej samej broni. W razie niewypalenia broni (patrz p. 3), gdy pierwszy strzał zawiedzie, drugiego dawać nie wolno, w przeciwnym razie uważać się będzie oba za chybione. Gdy drugi strzał zawiedzie, pierwszy się kasuje i cel puszcza ponownie w tym samym kierunku, przyczem strzelec strzela 2 razy. Rozstrzyga bezapelacyjnie sędzia. Jeżeli do należycie przemykającego jelenia da się tylko jeden strzał, lub wogóle nie strzeli, liczy się oba strzały za chybione. Jelenie należy trafić oboma strzałami w czasie jednego przebiegu; w przeciwnym razie uważa się oba strzały za chybione. O nagrodzie decyduje największa suma trafionych punktów. Maximum osiągalne 50 punktów. W razie równości sumy, następuje rozgrywka, która odbywa się przez oddanie 2-ch strzałów do jeleni w czasie jednego przebiegu, dopóki jeden z konkurentów nie odpadnie.

Strzelanie do rzutków.

Broń: — Dowolna broń śrutowa o kalibrze nie większym niż 12. Amunicja: — Naboje śrutowe normalne, śrut nie grubszy niż 2,75 mm. średnicy, waga śrutu nie powinna przekraczać 36 gramów. Dla broni do kal. 16 i u mniejszych kalibrów — 30 gramów. Odległość: — 15 metrów. Dla broni do kal. 16 i mniejszych — 14 mtr. Postawa: — Stojąc, z wolnej ręki. Tarcza: — Rzutek, wyrzucony z maszyny w odległości 15 lub 14 m. od stanowisk strzeleckich. W czasie jednej serji wyrzuca się tylko 10 rzutków. Ilość seryj: — Pięć po 10 rzutków. Ilość strzałów: — Najwyżej dwa strzały do każdego rzutka. Czas: — Podług ilości rzutków. Rzutki rozbite już po dotknięciu ziemi liczy się jako chybione. Warunek dodatkowy: — Odpada od strzelania, kto z 20 pierwszych rzutków nie rozbił przynajmniej 10. Udział: — Dowolny. Nagrody: — Pięć i pięć medali. Nagroda specjalna Zakładów Amunicyjnych „Pocisk“ S. A. 1000 sztuk naboi myśliwskich dla mistrza w tem strzelaniu.

Regulamin strzelania: Każdy z uczestników strzela w jednej serji do 10 krążków, bezpośrednio po sobie rzucanych. Do każdego krążka wolno strzelać 2 razy. Pozycja przed strzałem dowolna. Krążek nie liczy się, jeżeli: a) został rzucony przedtem, nim strzelec powiedział „daj“, b) jeżeli się ukazał w stanie uszkodzonym, lub nadbitym, c) gdy kilka krążków naraz zostanie rzuconych. Uważa się jednak bezwzględnie jako prawidłowo rzucony, gdy w jednym z powyższych wypadków zawodnik wystrzeli. Gdy pierwszy strzał zawiedzie nie z winy strzelającego, a drugi strzał trafi, krążek liczy się za rozbity pierwszym strzałem. Gdy drugi strzał jednak chybi, oba strzały uważa się za chybione. Krążek, do którego pierwszy strzał zawiedzie, a drugi raz się doń nie strzeli, uważa się za nierzucony i należy go powtórzyć. Gdy drugi strzał zawiedzie, otrzymuje strzelec nowy krążek, musi jednak pierwszy raz strzelić ślepo (bez śrutu), lub umyślnie pierwszym strzałem chybić. We wszystkich tych wypadkach należy się wykazać niewypałem. Decyduje sędzia bezapelacyjnie. Gdy do rzuconego należycie krążka strzelec nie strzeli, uważa się krążek za chybiony dwoma strzałami. Krążek musi być rozbity w powietrzu przed dotknięciem ziemi. O nagrodzie decyduje ilość rozbitych krążków, W razie równości decyduje liczba strzałów. Gdyby i tu była równość, następuje rozgrywka po 1 krążku, dopóki konkurenci nie odpadną.

W „zawodach ćwiczebnych“.

Strzelanie do jelenia ruchomego — strzał podwójny.

Broń: — Kulowa dowolna. Odległość, postawa, tarcze i regulamin, jak w odpowiedniem strzelaniu głównem. Ilość seryj: — Największa ilość dopuszczalna 10. Ilość nabojów w serji: — 5 dubletów. Ocena: — Według najlepszej serji osiągniętej najmniejszą ilością seryj. Udział:—Płatny, 1 zł. za serję. Nagrody: — Na 5-ciu uczestników jedna.

Strzelanie do rogacza.

Broń: — Kulowa dowolna. Odległość: — 50 metrów. Postawa: — Stojąc. Tarcza: — Figura rogacza podzielona na siedem i pół. Pojawiająca się na przeciąg 3 sekund pięciokrotnie. Ilość nabojów w serji: — 5 pojedyńczych. Ilość seryj: — Największa dopuszczalna ilość 5. Ocena: — Według najlepszej serji osiągniętej najmniejszą ilością seryj. Udział: — Płatny za jedną serję 2 złote. Nagrody: — Na 10-ciu uczestników jedna.

Regulamin strzelania: Między słowem „gotów“ a ukazaniem się rogacza składać się nie wolno. W razie niewypalenia broni należycie nabitej i przygotowanej musi strzelec wykazać komisarzowi i sędziemu niewypałem, iż broń nie z jego winy zawiodła. Komisarz rozstrzyga, czy zawodnik ma otrzymać pozwolenie do ponownego strzału, czy też niewypalenie ma się policzyć za chybiony strzał. Strzał nieudany do rogacza uważa się również za chybiony. Wstęp na stanowisko dozwolony jest tylko sędziemu, komisarzowi z odznaką i strzelcowi stającemu do konkursu. O nagrodzie decyduje suma osiągniętych punktów. Maximum osiągalne 35 punktów. W razie równości punktów następuje rozgrywka po jednym strzale, aż dopóki jeden z konkurentów nie odpadnie.

Strzelanie do rzutków:

Broń, odległość, amunicja, tarcza, czas, regulamin, jak w odpowiedniem strzelaniu głównem. Strzelanie to odbywa się dwoma sposobami: Pierwszy: Każdy strzelec staje sam do konkursu. Ilość rzutków w serji: — 10. Ilość seryj: — Nieograniczona w miarę wolnych miejsc. Ocena: — Według największej ilości zbitych rzutków, osiągniętych najmniejszą ilością strzałów. Udział: — Płatny, 5 zł. za serję i 30 groszy za rzutek. Nagrody: — Na pięciu uczestników jedna. Rozgrywka: — Według regulaminu.

Drugi sposób: Rozgrywanie puli w zespole. Zespół, najmniej 3-ch zawodników, a najwyżej 7-miu

zakupuje prawo wystrzelania pewnej ilości seryj płacąc sędziemu za serję dowolną sumę, najmniej jednak 4 zł. i za każdy rzutek po 30 groszy. Zespół otrzymuje do dyspozycji strzelnicę na okres czasu liczony na jedną maszynę i serję 8-miu. Zawodnicy mogą strzelać w jednej rozgrywce jednakową ilość seryj.

Ilość rozgrywek zależnie od wolnych miejsc. Po ustaleniu wyników przez sędziego następuje rozdział nagród. Sędzia odlicza 25% wpisowego na poczet kosztów, resztę sumy zaś rozdziela według następującego klucza: Na trzech, czterech i pięciu uczestników: Pierwsza nagroda wynosi 60%. Druga nagroda wynosi 40%. Na sześciu i siedmiu uczestników: Pierwsza nagroda wynosi 60%. Druga nagroda wynosi 30%. Trzecia nagroda wynosi 10%. W razie, jeżeli kilku pierwszych zawodników zbije równą ilość punktów, rozdziela się między nich sumę na równe części. Jeżeli np. dwu zbije jednakową największą ilość rzutków, dzieli się między nich przypadającą kwotę na dwie równe części i t. p.

W pierwszym dniu czwartych Narodowych Zawodów Strzeleckich, na które przybyło przeszło 1.000 czynnych uczestników konkursów, ukończono siedem konkurencyj. W strzelaniu z pistoletów o mistrzostwo Polski (odległość 20 mtr). zwyciężył mjr. Wrzosek (80 p.), wybijając 104 pkt. (rekord Polski) na 120 możliwych. Strzelanie z pistoletu do sylwetek o mistrzostwo Polski, dystans 25 mtr.: 1) Golawski 77 pkt. Strzelanie z broni krótkiej o mistrzostwo Polski, dystans 50 mtr.: 1) mjr. Wrzosek 480 pkt. Strzelanie z broni długiej, dowolnej, dystans 400 mtr.: 1) kpt. Pałosz — 46 pkt. na 50 możliwych. Strzelanie z broni krótkiej kaliber 22, dystans 50 mtr.: 1) por. Zalewski 416 pkt. na 600 możliwych.

Strzelanie myśliwskie do jelenia, strzał podwójny, dystans 100 mtr.,: 1) Drohojowski (Małop. Tow. Łow.) 29 pkt. w dwu serjach. Do rogacza strzelało 21 strzelców: 1) por. Zalewski (63 p. p.) 21 pkt. w 4-ch serjach.

W broni krótkiej o mistrzostwo Polski do sylwetek, z odległości 25 mtr. zajął pierwsze miejsce Zdzisław Wąsowicz (W. K. S. Legja, Warszawa), trafnych figur 18, ilość pkt. 75. Rekord wyrównany.

W strzelaniu o nagrodę Centralnej Szkoły Strzelniczej — na odległość 300 mtr. rekordowy wynik osiągnął sierżant Dąbrowski (C. S. S. Toruń), mając 100 pkt. (18 pocisków w kole celowniczem + 28 strzałów).

W strzelaniu długodystansowem na odległość 400 metrów broni długiej dowolnej kpt. Lewiński (34 pap.) wyrównał rekord, osiągając 35 pkt. na ilość 50 możliwych punktów.

Wynik ten został pobity przez kpt. Feliksa Pałosza (C. S. S. Toruń), który osiągnął 46 pkt. i pobł tem samem rekord polski.

W czasie zawodów pobito wiele rekordów, chociaż pogoda była nieszczególna, gdyż deszcz i wiatr przeszkadzały w strzelaniu.

Najwybitniejszym strzelcem z pistoletu jest major Wrzosek z 80 p. piechoty, który w strzelaniu im. majora Nusbauma z broni krótkiej wojskowej na 20 mtr. w trzech serjach wybił 56 pkt., zaś w strzelaniu z tejże broni o mistrzostwo Polski na 20 mtr. pobił rekord, mając 104 pkt. na możliwych 120.

Dotychczasowe wyniki z broni małokalibrowej o mistrzostwo Polski na 50 mtr. wykazują wyższość zawodników cywilnych nad wojskowymi, gdyż pierwsze 5 miejsc zajęli cywilni. Pierwsze miejsce zajął Rutecki (Legja, Warszawa) 382 pkt., 2) Łaszkiewicz (S. K. S., Warszawa) 375 pkt.

Wśród pań pierwsza Kaniewska 361 pkt.

„Program IV narodowych zawodów strzeleckich" zawiera 80 stron druku. Na pierwszych stronach uwidoczniono skład osobowy komitetu honorowego i wykonawczego. Z treści czytelnik dowie się, czem jest sport strzelecki na szerokim świecie. Jest też krótki i zwięzły opis województwa pomorskiego i Torunia. Dla zawodnika, a nawet nietoruńczyka, jest to niejako vade-mecum po stolicy Pomorza. Następuje część informacyjna: gdzie i o co się pytać można, jak idą pociągi, gdzie kwatery, żywność, jaka broń, amunicja i t. d. Uzupełnia te wiadomości plan Torunia — ładnie naszkicowany. Na czerwonym papierze zamieszczone są rzeczy, dotyczące programu strzelań również z mapą strzelnicy i poligonu oraz C. S. S. Reszta — to przepisy ogólne, odnoszące się do zawodników oraz dotychczasowe rekordy strzeleckie. Kilka kartek czystych — przeznaczono na notatki właściciela programu.

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE.

+ **Proces o psa.** — Paryż jest poruszony nieprawdopodobnym procesem. Właściciel domu, w którym mieszka panna Lecomte, nie jest przyjacielem psów. W kontraktach najmu pomieszczono więc klauzulę, zabraniającą lokatorom trzymanie psów większych od kotów. Pech chce, że panna Lecomte stała się właścicielką psa niezmiernie wartościowego, niejednokrotnie nagradzanego na wystawach. Właściciel zażądał eksmisji. Adwokat p. L. replikował w sądzie: 1-o w kontrakcie najmu jest mowa o kotach wogóle. Do rodziny kotów należą pantery, tygrysy i lwy, wobec których psina p. Lecomte jest zwykłym karzełkiem, 2-o niema dowodów, że schody zanieczyszcza tylko jeden pies, a nie reszta psów domowych, 3-o twierdzenie, jakoby pies p. Lecomte wpływał ujemnie na obyczajność towarzyszy, szukając zbliżenia, jest oszczerstwem, gdyż pies p. Lecomte należy do płci pięknej i tylko p. Lecomte mogłaby mieć powody do uskarżania się na natarczywość męskich kolegów swej suczki. W rezultacie sprawę odroczono.

+ **Niedźwiedzie mięso.** — Jeden z uczestników słynnej wyprawy Nobilego opowiedział między innemi: Brak właściwego wyekwipowania zmusił nas do uciekania się do środków wprost niezwykłych, jak np. do tego, by gotować niedźwiedzie mięso, jedyny nasz posiłek, na aparatach fotograficznych, które wszystkie w ten sposób spaliliśmy. Jedyny niedźwiedź, którego zabiliśmy, zbliżył się do naszego namiotu widocznie z prostej ciekawości tylko; zabił go Malmgreen celnym strzałem z rewolweru.

Redaktorzy: Julian Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Centr. Związek Polsk. Stow. Łowieckich.

SOBÓL I PANNA.

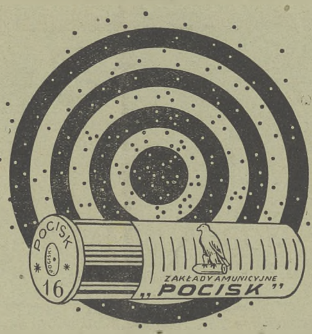
(Powiastka o ubraniu myśliwskiem).

Był jeden strzelec . . . Srodze go dręczyły losy!
Kaleczył drzewa, albo puszczał śrut w niebiosy.
Gdy mu z ust wybiegało miłosne zaklęcie,
Także za każdym razem pudłował zawzięcie.
A dlaczego? Rzecz jasna: zwierza i płeć piękną
Źle leżące ubrania odstręczą i zlękną.

Był drugi strzelec . . . Św. Hubert tak mu sprzyjał,
Że ilekroć wystrzelił — to zawsze zabijał.
U płci pięknej miał także wielkie powodzenie:
Lubiły go ogromnie Warszulki i Renie
A dlaczego? Rzecz jasna: zwierzyna i panie
Sprzyjały mu, bo nosił wykwintne ubranie.

*

Jeśli w nędznem ubraniu z podrzędnego źródła
Idziesz na łów, myśliwcze, — będziesz robić pudła.
Lecz jeżeli w HERSEGO chodzisz garniturze,
To, polując, osiągniesz powodzenie duże.
Towarzyszyć Ci będzie sława nieustanna.
Łaską swą Cię obdarzy i soból i panna.







Zakł. Druk. P. Wyszyński i S-ka Warszawa. Warecka 15.